



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Z MELODYI POKUTNYCH.

Chrystusie!—krzyża Twego drewno poczerńiało
Od łez, które się wżarły w jego czystość białą...
Tyle skarg nieklamanych ten krzyż Twój wciąż
[słyszysz,
A patrzy tajemniczo w majestacie ciszy.

Od wieków serca smutne do Ciebie się garną
I w jękach cichych niosą rozpacz noc czarną...
Codziennie na łzy krwawe patrzą Twoje oczy,
I z dniem każdym Twe lica cięższy smutek mro-
[czy.

Gdybyś Ty chciał przemówić do nędzarzy ziemi
Tych bólów wyplakanych mękami wszystkim!
Gdyby z Twojego krzyża czarnego, o Chryste!
Trysnęły wielkim zdrojem ludzkie łzy srebrzyste!

Możeby z łzami temi na dziatwy Twej głowy
Litośnie spłynął strumień odkupienia nowy...
Lecz Ty milczysz!... Czy próżne serc naszych
[błaganie?
O! kiedyż nam z Golgoty przemówisz znów, Panie?!

Antoni Pilecki.

POGAWĘDKA.

Rok bieżący jest rokiem konkursów, jubileuszów i projektów na jubileusze. Z tych ostatnich najsympatyczniejszym był jubileusz Prusa, jubileusz, który poruszył wszystkie warstwy społeczeństwa, donośnym echem odezwał się w sercach wszystkich i jeszcze nie przebrzmiał, jakgdyby wszystko to, co uczynionem już było dla uczczenia wielkiego pisarza, nie odpowiadało jeszcze w zupełności położonym przez niego zasługom na wielkim polu literackiej i społecznej działalności.

Rocznica dwudziestopięcioletniej pracy autora „Emancypantek“ odbyła się nad wyraz skromnie i cicho, bez hałasu i fanfar — ale tego sam Prus sobie życzył, właściwie nic nawet nie życzył, lecz czczący i kochający go ogół nie mógł i nie chciał pójść za wolą jubilata, nie mógł i nie chciał się powstrzymać od złożenia mu hołdu i wieńca obywatelskich zasług. I zrobiono, wszystko co tylko można było, bez urażenia skromności pana Aleksandra.

I—uroczystość jubileuszowa przeszła, zatęęła—jak zresztą wszystko na ziemi—w mroku umykającej szybko przeszłości.

Nie!

— Mało! powiada sumienie narodu—on trwał nam pamięć po sobie zostawia, zostawmy więc i my trwały wyraz wdzięczności naszej.

Jedną z najdonioślejszych działalności Prusa, jest, jak wiadomo, inicjatywa utworzenia *kass* *rzemieślniczych*. Pamiętając o tem dobrodziejstwie, które bez zaprzeczenia jest dziełem Prusa, jako zarazem wyraz hołdu dla jego działalności literacko-społecznej, rzemieślnicy nasi pod-

jęli myśl za pośrednictwem p.p. Osmały, Strzaleckiego, Woronieckiego i Łopińskiego, złożenia Prusowi adresu artystycznie wykonanego z napisem:

„Inicytorowi kas rzemieślniczych.“

Zadne rauty, żadne mowy przy kielichu, nie przemówią tak do serca zasłużonego pisarza, jak ten dar pamięci, pochodzący od ludzi, których dobro tak zawsze leżało na zacnem sercu Prusa.—Cóż zaś powiedzieć o *czemś*, coby pamięć wielkiego imienia łączyło z użytecznością publiczną?

Na doskonałą więc myśl wpadła redakcja „Zorzy“, rzucając krótkie ale doniosłe pytanie: „Czyby nie można zebrać funduszu imienia Prusa na wydawnictwo bardzo tanich książek dla bardzo ubogich dzieci, które często ze smutkiem wychodzą z księgarni bez upragnionej książeczki?”

Z jaką radością zawiadamiamy czytelniczki nasze, że pytanie powyższe nie zostało długo bez odpowiedzi, a odpowiedź nie była słowna lecz czynna, nie potakująca myśli mającej dużą doniosłość, lecz objawiająca się w skromnych może ale dość obfitych ofiarach w postaci gotowego grosza, napływającego do redakcji „Zorzy.“—Datki drobne a liczne, w podobnych wypadkach, są najpożądanejszymi z dwóch względów; raz—że ciągłością swoją przyczyniają się do zebrania odpowiedniego celowi funduszu; po wtóre:—że są wyrazem zajęcia się daną sprawą *całego* ogółu, wypowiedzeniem się raz jeszcze *całej* masy narodu, że tam, gdzie tylko brzmi imię Prusa—tem naród zwartym szeregiem staje. Doprawdy, zdaje mi się, że widzę jak p. Aleksander uśmiecha się, widząc dziatwę w podartej nieraz odzieży garnącą się po książki z „Biblioteki Prusa.“

Skromne datki na cel powyższy nie wyłączają wcale i ofiar większych. Każdy, kto może i wiele może niech grosz swój rzuci, a całość o bar-
dzo doniosłem znaczeniu, bo duchowego i umy-

słowego rozwoju biednej dziatwy, szybko się złoży.—I oto: w „Skrzynie do listów“ „Kuryera Warszawskiego“ znajdujemy już summy znaczniejsze na ten cel poświęcone: Dr. Haszewicz rs. 100 rzucił, dr. Karol Benni 25,—a wiemy, że to wszystko początkiem jest tylko.

Obecnie, tak jakoś u nas ułożyły się stosunki, że kobiety szybciej niż mężczyźni biorą do serca każdą inicjatywę i szybciej ją w czyn wprowadzają.

Nie robię z tego zarzutu płci brzydkiej; powolność wykonania rozmaitych projektów nie leży może tak bardzo w ich ospałej naturze, jak w różnorodności podejmowanych przez nich zajęć, wielości prac, od których niewiasty nasze, z natury rzeczy są zwolnione. A ponieważ rwą się do czynu, mając zarazem mniej obowiązków na swych barkach, łatwiej dana myśl, dany projekt przeprowadzić do skutku są w stanie. Nie ludzę się tedy, że i fundusz: „Biblioteki Prusa dla biednych dzieci“ podniesie się do należytej wysokości przeważnie za ich udziałem; nie wątpię, że szanowne czytelniczki „Bluszczy“, rade z przedstawienia im tej ważnej sprawy, w gronie swoich rodzin i znajomych zakrzętną się zechcą, czyniąc zadość wrodzonemu im uczuciu miłosierdzia dla biednych i opuszczonych.—Składki można przesyłać wprost pod adresem: „Zorzy“ lub innych dzienników zresztą z wyjaśnieniem jakiemu mają służyć celowi, z dodaniem, by były wręczone Redakcyi „Zorzy“ jako inicjatorce wiadomego funduszu.

Do liczby rozmaitych konkursów, które jak z rękawa posypały się ostatnimi czasami, należy konkurs „Kuryera Porannego“ jeden z najoryginalniejszych, dodamy nawet — najpotrzebniejszych. Z okazji dwudziestoletniej rocznicy swojego istnienia „Kuryer poranny“ ogłasza konkurs następujący:

„Przeznaczamy rs. 100 na dwie nagrody pieniężne lub w przedmiocie dla korektorów pism codziennych warszawskich lub współpracowników, poprawiających rękopisy redakcyjne, którzy w ciągu roku, od dnia 1-go Lipca 1897-go r. najstaranniej dbać będą o tępienie w wydawnictwie wyrażeni i wyrazów cudzoziemskich oraz błędów językowych.

Zasady przyznania nagród podamy później, zaprosiwszy przed tem do ich opracowania ludzi pióra, znanych ze znajomości języka i zabiegów o jego czystość.

Dzisiaj tylko dodamy, że dla ułatwienia zadania spółzawodnikom do nagrody, a i na pożytek piszących zamieszczać będziemy odtąd w „Kuryerze porannym“ jak najczęściej krótkie wzmianki, zwracające uwagę albo na upowszechniony błąd językowy, albo na niewłaściwe choćby utarte wyrażenie.

Oczywiście, praca korektorska nie jest tak łatwą jakby się na pozór zdawało. Oprócz należytej znajomości języka wymaga jeszcze od korektora niezmiernej uwagi. Praca jest tem większa, że z powodu różnych przyczyn—nieraz najcenniejsi autorzy nasi popełniają prawie nie do darowania błędy językowe.

Zanieczyszczenie języka naszego jest ogromne. Zwrócił już na to uwagę dawniej Aleksander Walicki wydając swoje: Błędy popełniane w mowie naszej...

Mimo czterokrotnego wydania tej bardzo pożytecznej książeczki, mimo szybkiego rozchwytywania nakładów—zło postępuje naprzód. My osobście coś wiemy o tem, mając—(w drodze znajomości) przesyłaną nam moc rękopisów do poprawy. Najbardziej cierpią z powodu zanieczyszczenia języka pisma codziennie, co się tłumaczy dają pośpiechem roboty, pracą ponocną, zmęczeniem oczu i umysłu korektorów. Niektórzy panowie pisarze odznaczają się wprost niechlujstwem, zwalając cały ciężar poprawek, nie tylko już błędów językowych, lecz całych zwrotów stylistycznych na barki korektorów przysięgłych. Gdyby nie ten korektor, rzecz nieraz z prawdziwym talentem napisana, z powodu owych herezyi językowych drukowaną byłaby nie mogła. Dość przejrzyć rubrykę Głosu: „Błędy językowe.“ — W każdym numerze tego pisma są podane błędy, wyjęte—aczkol-

wiek bez podania źródła—z tygodniowych i codziennych pism naszych. Niektóre paskudstwa tak się utarły w mowie naszej, że wszelkie nawoływania żadnego nie odnoszą skutku. Zło tak daleko zaszło, że już tu nie tylko o dobrych korektorów idzie, ale każdy z piszących powinien uważnie przejrzeć swój własny rękopis, porównać go z korektą i—odrzucawszy pychę na stronę—przyznać się do winy i nauczyć się pisać. Obecnie, naprzykład, w jednym bardzo poważnym piśmie, drukuje się rzecz pewna, która w szacie, w jakiej wyszła z rąk swojego twórcy, na światło dzienne pokazać by się nie mogła. Mimo ogromnej pracy i sumiennosci korektora, przeróbek całych ustępów i zdań—rzecz, pod względem stylistycznym, do dobrych zaliczyć się nie może. Musiano by wszystko przerobić, wszystko zmienić, by rzetelną nadać jej wartość—co już przechodzi zakres zwykłych obowiązków korektorskich, wymaga zresztą ze strony poprawiacza *pisarskiego talentu*. Tymczasem, powinno być świętym obowiązkiem naszym to pielęgnowanie tego skarbu po ojcach otrzymanego. Po francuzku mówmy mniej paryżkim akcentem, zpolonizujmy frazes jakiś (jeżeli już inaczej nie można) lecz do naszej mowy nie wprowadzajmy zwrotów obcych, przez grzeszne *przywyczażenie*, nie nadawajmy im praw obywatelstwa.—Ale—nie popełnię przesady, gdy powiem—że mniej się zawstydzimy, popełniwszy błąd w ojczystym języku, niż gdybyśmy jakieś słówko źle po francuzku wypowiedzieli. Tak dalece straciliśmy poczucie pewnych właściwości języka rodzinnego, że, naprzykład, wyrażenia podobne jak: „z obrad wczorajszych wypadł rezultat,—lub—„myśl podana przez p. X. była dobrą, a jako taka ogólne zyskała uznanie,“ nie rażą nas wcale. Nie przypuszczamy nawet, że zlosty Skarga w grobie się swoim przewraca, słysząc podobne piękności. A jednak są to grzechy codzienne, wyrażeniami podobnymi są spełnione wszystkie nasze dzienniki, nie inaczej nawet wyrażają się i celniejsi pisarze nasi. Tymczasem mówić się powinno: „z obrad wczorajszych *nie wypadł* rezultat żaden“—„myśl podana przez X. była dobra, a *przeto* ogólne zyskała uznanie.“—Na biletach wizytowych spotykamy: *Karolowie, Kaźmirzowie, Józefowie*—zamiast: *Karolostwo, Kaźmirzowstwo, Józefostwo; branza* handlowa drze nam uszy, a nawet żaden z krytyków naszych nie został dotknięty rusycyzmem, popełnionym przez p. Kozłowskiego w pięknym jego „Turnieju.“

Senat uprasza zgromadzenie całe?

Do wiadomości przyjętą tę uchwałę.

Galąz handlową wyrzuciła dziwaczna *branza*, Podesta „Turnieju“ powinien: zgromadzenie całe *zawiadomić* o zapadłej uchwale senatu i t. d.

Bardzo wiele tych win popełnianych przeciwko językowi naszemu, nie koniecznie kładziemy na karb nieuctwa, lekkomyślności lub innych podobnych przyczyn. Siła okoliczności pewnych zmusza nas niekiedy do nieuważ podobnych. Lecz dobra wola i na to poradzić potrafi.—Powinniśmy założyć *Towarzystwo*, nie wzajemnej adoracji, lecz wzajemnego przestrzegania się. Zrobiona uwaga, choćby nam ją uczyniono w najliczniejszym towarzystwie, nie powinna nas gniewać. Przeciwnie, powinniśmy być wdzięczni, za wykazanie błędu. Pięknem za nadobne odplacimy i my kiedyś,—choć wolelibyśmy nie odplacać, w każdym razie rezultat wypadnie jeden tylko: coraz poprawniej będziemy mówili i pisali po polsku.

Rzecz jednak dziwna;—do wypowiedzianych powyżej paru błędów, które są wprost herezyą językową, nie przywiązujemy zbyt wielkiej wagi i nawet sprzeczać się jesteśmy gotowi, stojąc przy poprawności wyrażeni, lecz niech tylko powiemy: „*Tą razą* udało mi się to a to wykonać“—zaraz znajdzie się językowy czyscioch, który zwróci uwagę, że się mówi: *tym razem*. Ni by to jest gramatycznie, ale pozwolimy sobie powiedzieć, że pierwiej był *język* a później gramatyka, że język nie do gramatyki ale gramatyka do gotowego już języka przyszła. W zabytkach więc piśmiennictwa naszego, jako też w pieśniach

ludowych, nie spotykamy wcale owej nowoczesnej, parę dziesiątków lat ledwie liczącej formy, wysławiania się. Wyrażenie *tą razą* wbrew ni by gramatycznemu prawidłu, przyjęli *nasi star* y prawdopodobnie dla większej jasności w wypowiedzeniu pewnych myśli. „*Tym razem* obaliłem cię na ziemię“—ma podwójne znaczenie,—obaliłem, w *danej chwili* albo,—*uderzeniem* (raz). Ta sama dwuznaczność będzie w następującem zdaniu: *tym razem* (uderzeniem) udało mi się zwrócić na siebie uwagę patrzących—albo: w *danej chwili* (tą razą) i t. d. Dla tej niejasności w wypowiedzeniu pewnych myśli, przynajmniej rodzaj męski *razowi*, robimy jednak pewne ustępstwo w liczbie mnogiej w 2-gim przypadku. Nie mówimy więc: wiele *razów* już ci to powtarzałem, lecz *razy*, (w znaczeniu: wielokroć). Gdyby jednak wyraz powyższy był rodzaju żeńskiego (raza) w liczbie mnogiej, w przypadku 2-im miałby: wiele *raz*.—Ale tak nie jest, logika tylko języka, w pewnych wypadkach nadała mu znaczenie rodzaju żeńskiego.

Nie będę się jednak opierał przy błędności wyrażenia: *tym razem*—ale i *tą razą* błędem nie jest, gdyż ma za sobą powagę wieków, większość jasność w wypowiedzeniu zdań pewnych a nawet i uznanie gramatyków niektórych. Mówmy więc i piszmy: *tą razą*, ale przyimku *żaden* bez przeczącego *nie* nie używajmy; nie wprowadzajmy w *jako takim* (als *so*lcher) niemieczyzny, pogardzając naszym dosadnym, staroświeckim: *przeto*.

Błędem jest mniemanie, że język żywy, urabiając się wciąż i bogacąc, musi wchłaniać w siebie wyrazy obce, które z czasem prawo obywatelstwa przyjmują.

Nie.

Językowi nie zbraknie własnych wyrazów; tworząc zresztą nowe do własnego źródła udąć się powinien i na ich podstawie wzbogacać się. Zacheijmy tylko, a napiszemy ogromną powieść lub dramat pięcioaktowy *bez użycia żadnego wyrazu obcego*. Zakłopotalyby się może piękne pannie, nie wiedząc jak nazwać rozmaite części swoich ubiorów i strojów. Moda przychodzi z Paryża, w tym więc wypadku bez francuzczyzny obejść się nie można.

Kto wie jednak czy w znacznej części, zapomniane, odrzucone zresztą niesłusznie nazwy różnych strojów z czasów dawnych nie wzbogaciły by i pod tym względem językowego naszego skarba. I prababki nasze stroiły cię tak samo jak wy panie; stroje zmieniały kształty nie nazwy, które zarzucone zostały podczas wszechwładnego panowania u nas francuzczyzny.

Jeden z moich przyjaciół opracował słownik wyrazów zapomnianych zupełnie lub wyszłych z użycia przez ową papuzią wadę naśladowania cudzoziemczyzny. Znalazłem tam bardzo dużo nazw dzisiejszych strojów, najniesłuszniej wyrzuconych za nawias. Wspomnę choćby o jednej: Dzisiaj stroik pewien zdobiący głowę meżatki, zowie się *kapotka*. Myślicie, że babki wazsze z czasów Kochanowskiego lub Potockiego Wacława kapotek nie nosiły? Nosiły—zwały je tylko—*statecznikami*.

Czy nie pyszna nazwa? czy nie mówiąca stokrój więcej niż owa francuzka—kapotka? *Statecznik* na głowie meżatki to nie jest fiok żaden zdobiący wietrznice—sama nazwa wskazuje jakie jest jego przeznaczenie, kto w niego się ubierze. A takich nazw, zastosowanych do dzisiejszych strojów, całemi dziesiątkami by się znalazło.

Z wiadomości bieżących, których niewielka wiązanka się zebrała, do najważniejszych zaliczyć wypada, pewne zmeżnienie postanowień naszych które—daj Boże—by w skuteczny czyn się przemieniły.

Bezcenne postępowanie prusaków ze współrodakami naszymi, zmusza nas do pewnego odwytu. Nie jeździć do Prus, omijać ich miejscowości lecznicze, zerwać handlowe stosunki z nimi—oto do czego nawoływały codzienne pisma nasze, ale jak dotąd był to *vox clamans in desertis*.

Przysłowiowy *słomiany ogień*, jest cechą naszego temperamentu. Powstaje szybko i spala się szybko. A czas już wielki, by w każdym posta-

nowieniu, w każdym czynie było więcej rozważli, spokoju i wytrwałości.

O czem, na przykład, jużesmy nie przegadali, czegośmy już nie zrobili, choćby w kwestyi pomnika Mickiewicza. Gadaniny było dużo, zanadto dużo, to też słusnie Quis w „Tyg. Il.“ powstrzymuje ten potok wyrazów i do właściwych granic rzecz całą sprowadza. Zasada: „*Festina lente*,” choć nie łatwa do zachowania, ma bardzo poważną rację za sobą, a trzeźwy rozsądek nakazuje stosować się do niej. Postępujemy ostrożnie i logicznie, krok za krokiem, nie wyprzedzając konsekwentnego rozwoju rzeczy, w sprawie zaś stosunku naszego do Prusaków, mamy ręce związane i wolność czynów. Chodzi tylko o te czyny, nie pustą grę słów; o wykonanie z żelaznym spokojem ciężkiego nawet obowiązku. Wytrwałość podobna, hartująca zamiękkie nasze charakterystyki przyda się nam zawsze choćby w życiu codziennem, które równie potrzebuje nieraz tego hartu i wytrwałości.

Oto podajemy przykład, co można uczynić, gdy myśl w słowo, słowo w czyn się zamieni.

Jeden z korespondentów „Kuryera Codziennego,” gdy poruszoną zostało sprawa *nie kupowania towarów pruskich*, przytacza bardzo ciekawy fakt, na który warto uwagę zwrócić.

Przed laty, pewien kupiec w Wilnie wywiesił nad sklepem swoim szyld z napisem: „Magazyn niemiecki.” Cały personel w sklepie używał wyłącznie języka niemieckiego, zachwalając głośno towary „aus Berlin.” Lecz, gdy nastąpiły znane „rugi” Polaków z Niemiec, kobiety wileńskie rozpoczęły agitować, aby nie w wiadomym nie kupować magazynie i — wytrwały w postanowieniu. Kupiec, widząc się zagrożonym w swym interesie nie tylko, że przemówił nagle po polsku, ale usunął nawet szyld z niemieckim napisem. Mimo to — nikt sklepu nie nawiedzał — i magazyn został zamknięty.

Takiego postanowienia i wytrwałości potrzeba i teraz.

Początek dał Lwów.

Wedle telegramu, otrzymanego przez jedno z codziennych pism naszych, w grodzie Lwa zapadła bardzo ważna w tym względzie uchwała. *Stowarzyszenie pomocy kupców i młodzieży kupieckiej we Lwowie postanowiło zerwać handlowe stosunki z kupcami pruskimi.*

A u nas?

Jeżeli u nas pomiędzy klasą kupiecką panuje dotąd obojętność, w sferach innych natomiast rozbudza się poczucie godności narodowej i daje już nieklamane oznaki życia. Dowiadujemy się, że grono rodzin zamożniejszych w naszym mieście agituje w kołach swoich znajomych projekt wstrzymania się od wyjazdu w r. b. do miejsc kąpielowych i kuracyjnych w Prusach. Inicyatorzy zamierzają popierać natomiast lecznice kąpielowe krajowe oraz austriackie. Projekt ten znajduje coraz większy zastęp zwolenników, którzy obiecują wytrwać w przedsięwzięciu. Urzęczywistnienie zamiaru będzie tem łatwiejsze, iż lekarze sami zalecają pacjentom miejscowości równoznaczne z takimi lecznicami pruskimi, A jakkwiżgran, Harcberg i inne.“

„Na pewnym też wieczorze towarzyskim u państwa K. cztery rodziny, stałe od lat kilku wyjeżdżające do Kołobrzegu, postanowiły w ciągu nadchodzącego lata zmienić miejsce pobytu.“ Motywem tego postanowienia jest owo prześladowanie w Prusach żywiołu polskiego. Wspomniane rodziny zdecydowały się, zamiast do Kołobrzegu, pojechać do Połagi.

Z przyjemnością notujemy te fakty. W rzedzie ogromnej liczby prenumeratorów „Bluszczu,” są tacy, którzy miesiące letnie napewno przepędzą zagranicą. Niech więc wiedzą, jakie zamiary i myśli budzą się w społeczeństwie naszym, jakiem echem odpowiedzieć im mają.

Ale — tu nastęrcza się bardzo słusna uwaga. Kołobrzeg, Soboty, owe uroczysce a zarazem lecznicze miejscowości leżą wprawdzie w państwie pruskim lecz w ziemiach polskich. W Sobotach zarabiają na życie Polacy, przeważnie kaszubi, trudniący się rybołówstwem, sadownictwem i sprzedają różnych produktów spożywczych. W dzień targowy na rynku brzmi mowa polska,

są nadto i dwa hotele w Sobotach: Dajchsłowej z Chmielowskich i p. Kulerskiego, redaktora „Gazety grudziąskiej” z całą usługą polską, oraz sklep polski połączony z handlem win p. Kubasiaka. „Co z nimi się stanie, jeśli Polacy przyjeżdżać tu nie będą? — zapytuje w „Kuryerze Warsz.“ p. J. Mazurkiewicz. — I może ma słusność, mówiąc, że: zaniechanie wyjazdu do Sobot wyrządzi więcej krzywdy Polakom, niż Niemcom, gdyż pierwsi jako sfera pracująca i uboższa, tracąc utrzymanie, ostatni zaś, jako kapitałisci, tylko mniej marek zgarniać będą do kieszeni. Baczmy więc, abyśmy nie wieszali kowala za to, że ślusarz zawinił.“

Trudno zdaje się nie przyznać słusności tym słowom. Omijajmy więc par excellence pruskich kąpeli, nie krzywdząc Kołobrzegu i Sobot.

Do rzędu różnych jubileusów przypadających na rok bieżący, mamy *jubileusz drukarski*, połączony z myślą założenia kassy dla weteranów.

Kto wie czem jest praca zecerska, owo stanie po godzin kilkanaście dziennie przy kaszcie, ten ciągły ruch rąk i palców, to wpatrywanie się w barbarzyńsko nieraz nieczytelny rękopis — (autor pogadank jest takimże barbarzyńcą) ten pojmię z łatwością, że trudno tam o zachowanie czerstwej starości, a gdy na stare lata stosownego grosza się nie zbierze — bieda gotowa.

Lecz co tu o starości mówić?... Wzrok zużywa się szybko, ręce i nogi drętwieją.

Założenie kassy dla weteranów kunsztu drukarskiego, powinno leżyć na sercu każdemu, który do rąk dziennik lub książkę bierze. Gdyby nie ci pracownicy, nie mielibyśmy tylu chwil szczęśliwych w życiu, tylu rozkoszy duchowych. O czem i o kim, to o nich pamiętać potrzeba, zając się szczerze wytworzeniem kassy dla tych siewców ziarn złotych, wytworzyć fundusz dla nich, z którego by czerpać mogli w dniach ciężkich, o które tak nie trudno na ziemi.

Boże mój, wiele jest biedy, wiele nędzy, na tym świecie! Nie mogą minąć spokojnie spotkania na ulicy żebraka, który rękę po datkę wyciąga, choć często bywają to oszuści, próżniacy zawodowi, nędzni wyzyskiwacze publicznego grosza.

Lecz nie wiem kim oni są, niech ich Bóg sądzi — ja dłoni nie cofnę.

Ale jest nędza ukryta, prawdziwa, wstydząca się żebrac, o której tak trudno się dowiedzieć, której szukać potrzeba i odnaleść nie łatwo. A jednak — można, byle chcieć tylko... można!

Opowiem wam, niby bajkę z tysiąca nocy.

Nie na krańcach miasta, nie na jego przedmieściach, ale wśródmieściu przy jednej z ulic głównych, znalazłem dom dziwny, którego trzeci piętro składa się z labiryntu kurytarzy ciemnych, niskich i wąskich. Wypadek zrzucił, że tam zaszedłem. Mrok rozpraszało mdłe światło świecy, — była to wprawdzie godzina północna — lecz i we dnie światła bożego tam niema. Na deskach, lub wprost na podłodze, spali ludzie różnego stanu, wieku i płci. Za prawo przespania się, płać właścicielowi 4 rs. miesięcznie. Żaduch okrutny, dłuższy pobyt w tych norach wprost niemożliwy mi się wydał. Uwagę moją zwrócił płacz jakiś, — była to kobieta młoda z dzieckiem, zarabiająca miesięcznie 6 rs. Głód szarpał ich wnętrzności — nosiła się z myślą udania się do Wisły. — Poznałem ją bliżej — co powiecie? jest to osoba ze sfer wyższych... kolei jej życia nie będę opowiadał — dodam tylko, że za prawdziwą łaskę Bożą poczytałem sobie, odnalezienie tej nędzy i — no, tu kropki postawię...

Szukajmy, a znajdziemy. — Rozkoszą prawdziwą jest pomódz bliźniemu w nieszczęściu.

Ale oto zbliża się dzień wielki Zmartwychwstania Pańskiego. Jak zawsze więc, tak i obecnie przyjmijcie życzenia od waszego sługi, który dzieli się z wami jajkiem święconym, a dzieli się już po raz nie pierwszy i — mam nadzieję, — że długo jeszcze będziemy z sobą mówili, mieniali się na myśli i serca, dzielili się troskami i szczęściem każdym.

??

Miserere Gregoria Allegri.

Obrazek na tle historycznym.

(Dokończenie).

Dzieci już prawie wszystkie dorosłe pracowały na siebie. Biedna matka z pomocą familii starała się dać im wychowanie praktyczne, wiedząc niestety, że nie zawsze nauka daje chleb powszedni. Ona to jedna w swem kochającym sercu znalazła pobłażliwość i łagodzące okoliczności i wpoila w dzieci przekonanie, że biedny ich ojciec uległ nieszczęściu, fałszywym pozorom ale nie zbrodni, było to zapewne jedyne kłamstwo w życiu szlachetnej Julii, które chyba najstarsi wybaczyć mogą. Petro czuł dla niej całą wdzięczność i uwielbienie, również dla zacnego przyjaciela, który go nadal nie odstępował, czuł nad jego potrzebami a ponieważ w danych okolicznościach ex doktor nie mógł się zajmować praktyką lekarską, wynalazł mu inne źródło zarobku, dostarczając drogocennych manuskryptów do przepisywania, dogadzał, niejako jego zamiłowaniu wiedzy i nauki. Tak upłynął rok. Rameti pracował cicho w pośród rodziny Gregorio, odwiedzał go często, nie odstępując zamierzonego celu, lecz jak tylko dotknął kwestyi religijnej, Petro z całą szczerością otwierał mu stan swego umysłu.

— Wiary mi brakuje — odpowiadał stanowczo — pragnę jej, ale znaleźć nie mogę. O drogi mój wybawco, ty co jesteś wzorem dobroci i miłosierdzia jeżeli tajemnice, które mój umysł pojąć i zgłębić nie może, są prawdą, módl się za mnie do twego Boga, aby mnie oświecił, tak módl się, bo ja nie mogę; ile razy próbuję tej pociechy, serce moje milczy, rozum się buntuje.

Słowa te napełniały Gregoria smutkiem, nie odbierały mu jednak nadziei, zdawało się, że trudności powiększały jego gorliwość, pobożny kapłan ufał, że łaska Wszechmogąca zrobi więcej, jak jego usiłowania.

W takich okolicznościach zbliżał się znowu Wielki Tydzień i rozpoczęto przygotowania na uroczyste obchody. W całym Rzymie mówiono o wielkim Miserere Gregoria i zazdroszczono szczęśliwym, którzy zdołają uzyskać pozwolenie wejścia do kaplicy Syxtyńskiej. Gwałtowne pragnienie opanowało także Petra Rameti, a gdy Gregorio jak zwykle przyszedł go odwiedzić, zawahawszy się cokolwiek, odezwał się do niego nieśmiało.

— Mój ojczy chciałbym ci coś powiedzieć, o coś prosić.

— Mów przyjacielu, — odpowiedział z zwykłą dobrocią, jakby z uradowaniem.

— Ale to jest rzecz wielka, może niemożliwa.

— Mów — powtórzył, łagodnie Allegri.

— Może to jest zuchwałstwo, zbyt szalona śmiałość, ale byłes zawsze dla mnie tak dobrym, że mi to dodaje odwagi.

— Ale zaciekawiasz mnie w najwyższy sposób, mów przecie o co chodzi.

— Jeszcze raz powtarzam, że śmiałość moja przechodzi twoje oczekiwanie, oto mój ojczy i dobroczyńco, sława twego Miserere rozbudziła moją ciekawość, pragnienie usłyszenia go konieczne.

— Niepodobnieństwo, — odrzekł z cicha ksiądz artysta, — wszystkie miejsca rozdane oddawna.

— A jednak gdybym mógł dostać się do kaplicy Syxtyńskiej i usłyszeć twoje wielkie Miserere, doznałbym radości niewypowiedzianej.

Allegri zamyslił się, potarł ręką czoło.

— Nie śmiem ci obiecywać, bo wiem, że wszystkie miejsca na wszystkie dni zajęte i z najwyższego rozporządzenia nikogo więcej wpuszczać nie wolno, a jednak będę chciał koniecznie, będę się starał, — mówił jakby do siebie, jakby mu nowa myśl zabłysła. — Poczekaj jutro ci powiem.

Petro z rozczuleniem uściskał rękę swego dobrotliwego, z niecierpliwością oczekując dnia następnego.

O umówionej godzinie Gregorio wszedł do mieszkania Rametich, a za chwilę uszczęśliwiony Petro siedł obok swego opiekuna.

Był to Wielki Czwartek, dzień mistycznych ceremonii, rozpoczynający szereg następnych przed wielką uroczystością Zmartwychwstania. Zdawało się, że wszystko przybrało jakiś nastrój niezwykły, cisza panowała w powietrzu, a głośne dzwony, które za chwilę zamilknąć miały, wzywały małych i wielkich, biedaków i bogaczy.

Piotr Rameti i Gregorio Allegru szli w milczeniu obok siebie, jakby jednym ożywieni uczuciem, jakby w oczekiwaniu czegoś niezwykłego, upragnionego oddawia.

Lecz i tutaj, jak to najczęściej bywa, wśród ogólnej harmonii fałszywa nuta zabrzmiała złowrogo i przypomniała biednemu Petro, że nie wychylił jeszcze do dna kielicha goryczy.

Dwaj przyjaciele zbliżali się właśnie do Corso w kierunku Capitolu, gdy kilku ciekawych na podobieństwo dzisiejszych lowelasów, nie wyglądając bynajmniej na skupionych, głośno rozmawiali, czyniąc uwagi o przechodniach. Allegru i Rameti nie uszli jej także.

— Patrzenie,—odezwał się jeden,—oto ten sławny doktor i sławniejszy jeszcze truciciel, co tak szczęśliwie uszedł szubienicy.

— Per Baco,—zawołał drugi,—żeby się jeszcze temu poczciwemu Gregorio nie przysłużył, na takiego wszystko podobne.

Doprawdy nie rozumiem,—odezwał się trzeci,—jak taki znakomity artysta kompozytor i duchowny może się wdawać z takim łotrem.

— Cnota i występki nieraz w parze chodzą,—powiedział najmądrzejszy.

Takie i tym podobne komentarze dochodziły do uszów zaanego kapłana i biednego winowajcy.

Allegru jeszcze bliżej i serdeczniej ujął rękę towarzysza, jakby mu chciał wynagrodzić, osłonić przed złośliwością ludzką.

Kilku ciekawszych poszło za nimi, aż do Watykanu i jakie było ich zdziwienie, gdy ujrżeli obydwoh dążących do kaplicy Syxtyńskiej, do której w danej chwili wielu z najbogatszych za cenę złota dostać by się nie mogło.

— A to dobrze,—odezwał się najsmielszy,—to widać trzeba otuć albo zabić, aby się dostać do kaplicy i usłyszeć wielkie dzieło.

— Milcz,—odezwał się ze świętobliwym oburzeniem kapłan—i pamiętaj, że nie ma winy, której by szczery żal i pokuta nie zmały.

Napastnicy odstąpili zawstyżeni, a Petro zadrżał pod wpływem tych słów i pełen wzruszenia postępował dalej za swym przewodnikiem.

Za chwilę znaleźli się u upragnionego celu. Allegru zajęty ciągle swym towarzyszem umieścił go w najskrytszym miejscu niedaleko drzwi wchodowych, a sam poszedł zająć honorowe miejsce obok kardynałów i dostojników kościoła.

Rozpoczęto nabożeństwo. Rameti nie zdawał się brać w nim udziału patrzal w około z ciekawością, podziwiał wspaniałość miejsca arcydzieła architektury rzeźby i malarstwa, groźne postacie starego Testamentu Michała Anioła, jego Sąd Ostateczny, poważne śpiewy, ceremonie, wszystko to zachwycało go, upajało, ale modlić się nie mógł, nie umiał.

Nareszcie zaintonowano wielkie *Miserere*, śpiewali go z taką dokładnością i przejęciem, że słuchacze oddech w piersiach tamowali, zdawało się, że mistrz i wykonawcy jednym duchem ożywieni z nieba czerpali siłę i natchnienie, by prostym tonem w najtwardszej duszy poruszyć wszystkie fibry, wszystkie szlachetne instynkta i zmusić do ukorzenia przed tronem Wszechmocnego, zdawało się, że podziwiali chęci i nadzieje Gregoria Allegru. A gdy przyszło do miejsca Świętego Psalmu „Zmiłuj się nademną Boże według miłosierdzia twego, albowiem znam nieprawość moją i grzech mój jest zawdy przeciwko mnie,“ głuchy jęk, a potem głośne łkanie dały się słyszeć opodal. Papież, Kardynałowie, święte Kolegium i wszyscy obecni mimowolnie zwrócili uwagę na miejsce z kąd słyszeć się dawał, lecz jeden tylko Allegru spojrział, zrozumiał i zadrżał z radości.

Rameti płakał i modlił się na klęczkach. Od tej chwili zaczęło się dla niego inne życie, ponury smutek ustąpił, a chociaż przeszłość i wszystkie przebyte cierpienia i zawody zasiały czoło, kilka słów przyjaciela, który go i nadal nie opuszczał rozpraszały pomrok umysłu i krzepiły nadzieję.

Z zapałem wziął się znów do pracy, zapoznał się z najciemniejszymi zaułkami wielkiego miasta, niósł pomoc lekarską najbardziejym, wchodził na poddasze do niskich izdek, przywracał zdrowie, wnosił pociechę, a wydzierając śmierci ofiary, pocieszał się myślą, że Bóg przyjmie zadosyćuczynienie za przyspieszenie jednej.

Opinia zrobiła się dla niego łaskawszą w całym Rzymie, znaną była historia wielkiego grzesznika nawróconego boską muzyką Gregoria Allegru.

Sława tego ostatniego długo głośnie była i zachowała się do naszych czasów. Umarł 18 Lutego 1659 r. pochowany w kaplicy in Velicella w grobie kolegium śpiewaków kaplicy Watykańskiej.

Wzbronionem było pod kłatwą ekskomuniki wydać kopię wielkiego *Miserere*. Wolfgang Mozart, ten mistrz mistrzów wykrał tajemnicę, w młodziutkim wieku usłyszawszy dwa razy napisał bez żadnej zmiany. Cesarz Leopold otrzymał od papieża kopię i kazał wykonać w Wiedniu.

Nasza publiczność miała sposobność przed paru laty poznać ów znakomity utwór na sławnym koncercie historycznym w Towarzystwie muzycznym urządzonym przez pana Aleksandra Polńskiego.

Zofia Chrzanowska.

TEATR.

Jak mogło być i jak było, złuda sceniczna w 5 obrazach z prologiem Gamastona.

Jak mogło być?

Gdyby autor znanych powieści i nowel, kryjący się pod pseudonimem Gamastona, był rzeczywiście pisarzem talentu i miał odrobinę samokrytycyzmu—wtedy, po uważnym odczytaniu swej sztuki lub po pierwszych nawet jej próbach, schowałby rękopis do szuflady, nie wystawiając na widok publiczny swego utworu pod każdym względem nieudanego, na czemby zyskała jego sława autorska, reżyserya teatru nie byłaby narażona na ostre pociski krytyki, publiczność żadna nowości i swojszczyzny na rozczarowanie. a piszący niniejsze słowa na wypełnienie smutnego, w danej chwili, obowiązku, sprawozdawcy teatralnego.

Tak by być mogło.

A jak było?

Nieodrze.

Jeden więcej listek lauru nie przybył do sławy p. Gamastona, ubogi w oryginalne utwory repertuar naszego teatru nie z bogacił się wcale sztuką nie mogącą mieć powodzenia, publiczność wypełniająca doszczętnie teatr podczas każdej premiery, przestanie wierzyć nowościom jako też w umiejętność kierowników sceny, zbudzą się uspione zawiści niechętnych, nie na przyczynę patrząc, jakimi była zmuszoną może kierować się reżyserya teatru Rozmaitości, lecz na fakty, które bez żadnych argumentów moc drugocząca mają.

Z zrozumiałych bardzo latwo powodów, stoimy przy zasadzie wystawiania na deskach naszego teatru więcej sztuk oryginalnych aniżeli tłumaczonych; zawsze pierwszeństwo damy autorom swojskim, niż obcym—nie idzie jednak za tem, ażeby pierwsza lepsza elukubracya niedoświadczony młodziak, lub, jak w danym wypadku, utwór, znanego nawet powieściopisarza, lecz pozbawiony wszelkich cech dramatycznego talentu, miały otwarte drzwi na scenę pierwszorzędną w kraju naszym. Azali naprawdę taki jest brak u nas dramatyczno czy komedyopisar-

skich zdolności, żeby taka „złuda sceniczna“ p. Gamastona brak ten wypełnić mogła?

Jesteśmy innego zdania... Znając zaś osobiście i ceniąc bardzo dzisiejszego reżysera sceny naszej; wiedząc, że nim nigdy nie kierowały i nie kierują żadne uboczne względy i względziki—niefortunne postawienie na scenie naszej „złudy“ kładziemy na karb jakiejś omyłki, jakiegoś nieporozumienia, przeoczenia, pośpiechu, lecz nie nieumiejętności w doborze sztuk, lekceważenia przyjętych na siebie obowiązków reżyserskich, nie na karb tego wszystkiego, co mogą mu przypisywać niechętni lub zły woli ludzie.

Omyłka nie jest grzechem i da się naprawić. Mówiąc zaś o kilku nieudanych próbach sztuk wystawionych w ostatnim sezonie, nie godzi się nam zapominać i o tych, które mają i mieć będą powodzenie na przyszłość; o tych, które są niezaprzeczoną zasługą napastowanego dziś reżysera, wzbogacających rzeczywiście nasz repertuar, jak: *Turniej Kozłowski* i parę innych rzeczy.

Nie wchodząc jednak w przyczyny, które kazały nam oglądać w Teatrze Rozmaitości „Jak mogło być... i jak było“ przystępujemy do wykonania przyjętego na siebie obowiązku sprawozdawcy teatralnego, obowiązku — (zupełnie szczerze mówimy)—w danym wypadku bardzo nieprzyjemnego, bo wolelibyśmy chwalić niż gonić, podnosić strony dodatnie, niż wytykać błędy i wady. Mniejsza zresztą, gdyby krom błędów i wad, było coś jeszcze, coby im równoważyło, lecz gdy tego niema, gdy nic nie przeważa szali, na której spoczywa balast samych tylko złych stron i wad—rola sprawozdawcy czy krytyka jest nad wyraz niemiłą i wolałby się usunąć od niej, gdyby nie przekonanie, że nieraz mu jeszcze przyjdzie pisać o rzeczach dobrych, mających rzeczywiście wartość sceniczną, artystyczną i literacką.

Oto treść „złudy“:

Dwóch studentów Siekierski (Prażmowski) i Sitkowski (Wolski) stołują się u pani Bielskiej (Borkowska) wdowy, mającej dwie córki Jadwigę (Fedorowiczowa) i Anielę (Trapszo). Oba młodzieńcy oczywiście kochają się w panienkach, tylko Siekierski, poświęcający się chemii, otrzymał już stopień uniwersytecki, Sitkowskiemu zaś brakuje jeszcze dwóch lat do skończenia medycyny; tylko, Jadwiga jest już panną na wydaniu, Anielka zaś podlotkiem jeszcze. Pierwsza się więc para już kocha, druga odkłada na później ujawnienie swojej miłości.

Cały prolog wypełnia banalna pogawędka przy stole u pani Bielskiej, którą niepokoi wciąż służąca Magda, tłucząca naczynia, donosząca swej pani o przepaleniu się pieczeni baraniej i nadto przerumienionych czy niedosmażonych naleśnikach z powidłami. Ale pieczeń smakuje studentom, naleśniki zaś, jako danie odświętne, wzbudzają szczerą radość. Dowiadujemy się także, że Jadwiga daje lekcje muzyki, młodsza zaś jej siostrzyczka marzy o scenie i powodzeniu artystki—śpiewaczki. Na tych wiadomościach, do których należy jeszcze i to, że młody chemik otrzymał posadę w cukrowni p. Goldenwafła (Rapacki) bogatego przemysłowca, kończy się prolog, trwający minut—*dziewiętnaście*.

W *akcie pierwszym*, czy jak chce autor, obrazie pierwszym—widzimy p. Goldenwafła ofiarującego chemikowi miejsce w swojej cukrowni z pensją czterystu rubli rocznie i zaliczką dwudziestu pięciu rubli na koszt podróży, które ma studentowi wypłacić komisarz przemysłowca pan Konfiter. Poznajemy tu także pannę Malwinę, córkę p. Goldenwafła, powracającą z ujeżdżalni. Ojca niepokoją te przejażdżki konne, ale panna Malwina zamyka mu usta słowami, że hrabianka X. także dosiada rumaka. Tu też młody chemik wyjawia miłość swoją pannie Jadwidze, która przyszła na lekcję do młodszej córki pana Goldenwafła.

Dla czego wyznania nie uczynił w prologu, w mieszkaniu pani Bielskiej, lecz w salonie bankiera—jest to już tajemnicą p. Gamastona, który rozmaitemi niespodziankami pragnął zająć uwagę rzeczywiście zaciekawionych widzów, jak się cała ta szopka skończy.—Pan Goldenwafel nazaczył Siekierskiemu czterysta rubli pensyi,

panna Malwina wróciła z ujeżdżalni i powiedziała, że hrabianka X. to samo robi, Siekierski oświadczył się o rękę Jadwigi i—kurtyna zapadła, po dwóch minutach od swojego podniesienia się.

Krótkością aktu pierwszego p. Gamaston za imponował wszystkim dotychczasowym komedyopisarzom. Nie wierzyłem sam sobie—ale wskazówki mego zegarka wskazały najwyraźniej—*minut dwie*.

Lecz oto mamy obraz drugi.

Siekierski się ożenił i cieszy się szczęściem domowem; matka żony i siostra Jadwigi, owa Anielcia podlotek na pannę już wyrosła—bawia przy nim; niebo pobłogosławiło kochające się małżeństwo Piotrusiem, który już mądrość swoją objawia ssaniem paluszków uprawiającem w zachwyty rodzinę całą.

Prawdziwa sielanka—lecz do uzupełnienia jej uznał p. Gamaston za konieczność sprowadzenie żydówki, która z gęsmi do państwa przyszła. Przekupka targuje się, ociera nos palcami, drapie się pod pachą—i to ma być humor a zarazem obrazek, prosto wzięty w natury, dodający dziwnego uroku ciszy wiejskiej.—Tymczasem pan Piotr Siekierski otrzymuje depezę o przyjeździe swojego przyjaciela i dawnego kolegi, Wiktora Sitkowskiego, lecz o tem zawiadamia tylko żonę. Kazał przed szwagierką zachować tajemnicę, by tem jej większą przyjemność sprawić. Sitkowski odbywał w Berlinie studia kliniczne i wraca do kraju, by miłość swoją Anielcie wyznać. Już to samo sprawia wielką radość w rodzinie, ale, gdy nadszedł p. Goldenwafel w towarzystwie dyrektora cukrowni, który zmienia posadę, a wakujące miejsce w nagrodę rzetelnej czteroletniej służby—otrzymał ma Siekierski: radość się wzmagają, i uszczęśliwiona rodzina zasiada do—kawy, przypominając dawną pieczęć baranią i naleśniki z powidłami. Obraz drugi trwał *minut trzydzieści*.

Widzimy więc, że:

Pani Bielska, dwie jej córki i dwóch jej dawnych stołowników są szczęśliwi. Praca i obowiązki rodzinne wypełniają ich życie, dobrym ludziom błogosławi niebo w postaci p. Goldenwafela.

Złuda!...

Tak być mogło—lecz się na świecie inaczej dzieje. Z młodzieńców znacznych stają się szubrawcy, ale to tacy szubrawcy, których najwłaściwszym miejscem jest Pawiak, a strojem, nie nieskalany mundur studencki, lecz piętno aresztanckie na plecach.

Jak więc było?

P. Gamaston w akcie trzecim, trwającym *minut siedm*—daje nam początkową scenę obrazu pierwszego.

Widzimy p. Goldenwafela ofiarującego chemiczowi miejsce w swojej cukrowni z pensją czterystu rubli rocznie i zaliczką dwudziestu pięciu rubli na koszt podróży, które ma studentowi wypłacić komisant przemysłowca p. Konfitora. Jazda konna praktykowana przez p. Malwinę niepokoi ojca, lecz córka zamyka mu usta słowami, iż konno jeździ i hrabianka X. Wechodzi Jadwiga ukończona *niby* Siekierskiego, ze słowami tkliwości ku niemu się zwraca, lecz on odtrąca ją z rzucając chłodem. Siekierski od dawna już bawił się w romansik z córką bankiera panną Malwiną, której brata był korepetytorem; Goldenwafel schodzi ich, gdy wzajemnie obdarzają się pocałunkami. Zrazu o małżeństwie słuchać nie chce, lecz upewniwszy się, że Malwina kocha Piotrusia, a do tego, że Piotrusz pieczętuje się, jako szlachcic, Siekierką—daje swoje błogosławieństwo, majątek i posag córki.

W obrazie czwartym dał nam p. Gamaston wstrętny widok marnotrawcy i rozpustnika, który pomiata żoną, pije szampa, bawi się w pokątne miłości, uczciwemu Konfiturowi każe precz pójść, jako niezdołnemu do niecnych sprawek. Na groźbę starego Goldenwafela, że cofnie mu pełnomocnictwo i nie dozwoli marnować niezarobionego grosza, odpowiada dawny student:

— To ja ci odeszlę twoją Małkę i jej bachory, a ciebie wyrzucę za drzwi mego domu!

Goldenwafel jest przerażony. Malwina zaś widząc rozdrażnienie męża przypisuje je niesłusznym wyrzutom ojca, który ostatecznie godzi się ze smutną koniecznością, dając słowo córce, że więcej wymówkami swojemi jej mężowi przykrości już nie uczyni. Po *piętnastu* minutach tej awantury kurtyna zapadła i my przychodzimy do piątego i ostatniego aktu „złudy,” która już złuda nie jest od początku odsłony trzeciej.

W tej *piątej odsłonie* spotykamy już i pana Sitkowskiego, byłego studenta medycyny, kochankę Anielci, przyjaciela i kolegę Siekierskiego.—Tu już widzimy potarganie wszystkich węzłów uczciwości; Malwina, kochająca niegdys Piotra, oszukuje męża; zdradza go też i przyjaciel, bałamucąc mu żonę. Wechodzi tu nieszczęsny jakiś baron ogrywany w karty, figura głupia, nieśmaczna, z którą tylko mógł sobie dać radę mistrz taki, jakim jest p. Frenkiel. W domu zagnanego Goldenwafela złodziejstwo kwitnie na wielką skalę. Zięc okrada teścia z majątku, fałszuje bilansy; Malwina ze czci okrada swojego męża, bezecny zaś przyjaciel Siekierskiego, ów Sitkowski, wyłudza od Malwiny pieniądze, żyje jej kosztem i hańbą. Obracamy się w jakimś gnieździe łotrów z pod ciemnej gwiazdy, oczekując łada chwila żandarmów, mających zadość uczynić sprawiedliwości.

Ale—ale może jakieś jaśniejsze światło padnie na nas z postaci Jadwigi i Anielki?

Złuda!

Panna Jadwiga „rutkę sieje,” panna Anielca jest skończoną artystką i znajduje się właśnie na raucie u Siekierskich.

I na tym to raucie dowiadujemy się rzeczy okropnych.

Nadużycia p. Siekierskiego i fałszerstwo bilansów zostały wykryte przez Konfitora. Dowiedziawszy się o tem winowajca, woli, zamiast pod klucz więzienny, razem z Anielką do Wiednia uciec. Wręcza więc jej tysiąc rubli pod miseczką z lodami i—wybiera się w podróż.

O tem wszystkim dowiaduje się od Konfitora Goldenwafel. O mało krew go nie zabija i nie wie sam, co robić, wreszcie, zabrania ścinać uciekającego łotra, każe deficyt wznieść do kasy, szepcąc tylko słowa:

— Nikt nie wie, co się w mojej duszy dzieje!

Goldenwafel i Konfitor—są tylko uczciwymi ludźmi, reszta hałastra, której miejsce nie na scenie naszego teatru właściwie, lecz w murach więziennych. Autor splugawił społeczeństwo swoje, splugawił mundur studencki, który powinien być wolny od plam, splugawił kobiety, z których powyrastały łotrzyce i zdrajczyni tylko.—I gdyby w tem całym szurum—burum, było jakikolwiek bądź pogłębienie psychologiczne, jakaś siła wypadków popychająca ludzi do poskudstw takich.

Bynajmniej!

Nie logika przyczyn doprowadziła do czynów podobnych, tylko wola p. Gamastona.

To mało jeszcze!

Trudno wierzyć na słowa czyjeś—widzieć chcemy działające pobudki, tak, a nie inaczej wpływające na urabianie się charakterów, do takich, a takich, choćby ohydnych nawet, doprowadzające czynów.—Goldenwafel miał miliony, lecz młody student uniwersytetu zasady jakieś, jakieś ideały właściwe młodości, no—i tej poczciwej biedzie studenckiej.—Wiemy, że czasem i silne charakterystyki się łamią, lecz równie silne, jeżeli nie silniejsze nawet, muszą być młoty wypadków, które granit kruszą.

W sztuce p. Gamastona nie widzimy nic. Łajdactwo Bóg wie zkad się bierze. Panny Anieli, na przykład, nieusprawiedliwicie wcale jej zamiłowanie do sceny; scena przeciw nie wytwarza łotrzyce, a jeśli się i takie zdarzają, o!—to musiały być silne przyczyny, dużo ran krwawiących serce. Zawodów ciężkich, pokus niezmożonych, by mógł się wyrzec wszelkich śladów nawet uczciwości.

Z dobrej sztuki moral sam wypływa—tu dziwny nam moral przedstawił p. Gamaston. Praca młodzieży i nauka uniwersytecka prowadzą do—wynaturzenia się; Goldenwafel z lekceważeniem odzywa się o *hrabiacach*—nie wierzy im, gan-

grenę widząc w nich tylko. Z zaufaniem zwraca się do ludzi młodych, którzy własną pracą dobijają się stanowisk.

Gdzie tam! i tu zawód.

Takie społeczeństwo nie ma racji bytu.—Na szczęście! nie ma racji bytu sztuka p. Gamastona, która niczem innem nie jest, jak tylko żartem z publiczności, zdrowego rozsądku i krytyki.

Z zegarkiem w rękę mierzyliśmy długość każdego aktu,—a było ich sześć. Jaki zład wypadł rachunek—obliczmy:

Prolog—trwał minut	19.
Akt 1	2.
Akt 2	13.
Akt 3	7.
Akt 4	15.
Akt 5	20.

Razem 76 minut.

Zatem *sześcioaktowa* sztuka trwała zaledwie 1 godzinę i minut 16.

A reszta godzin?

Wypełniała nam orkiestra w antraktach...

No, lubimy muzykę,—ale na przedstawieniu dramatu czy komedyi nie oddajemy wcale jej pierwszeństwa.—A tak łatwo było panu Gamastonowi... nic nie napisać.

K. Gliński.

N A E A S C E

POWIEŚĆ

przez

M. N. Sas-Junoszę.

(Dalszy ciąg),

Nazajutrz, wcześniej niż Roman się spodziewał, nadjechał Władysław, serdecznie powitany przez gospodarza.

Książę, który upodobał sobie werandę, siedział tam od rana i Roman tutaj przyprowadził młodego Kręckiego. Zaraz po zapoznaniu i powitaniu, Roman poznał, że dwóch tych ludzi przystaje wzajemnie do siebie; zostawił ich więc razem, odchodząc do reszty gości, którzy ostatecznie nie wymagali jego opieki, bawiąc się sami doskonale z Juliuszem, którego bez litości wyciągali na niedorzeczności.

Wkrótce Juliusz odjechał, posłuszny rozkazowi pięknej pani. W ostatniej chwili jeszcze Roman starał się wyciągnąć z niego jakąś wiadomość o Żarnkach; na wszystkie zapytania, mało rozgarnięty młodzieniec odpowiadał ogólnikowo, że goście bywa mnóstwo, panie bawią się doskonale, tylko panna Janina mało widzialna...

— Zapracowana pewnie! — pomyślał Roman, idąc w zamysleniu na werandę gdzie pozostał książę z Władysławem.

— No, Romanie! — zawołał Bruno z ożywieniem, które go czyniło młodszym niż był w istocie,—powinszuj mi... sprawa skończona! wyjeżdżamy we Wrześniu obydwu.

Władysław przystąpił do Romana i wzruszony uściskał jego rękę.

— Jakto?—spytał ten ostatni.—Stanowczo, bez żadnych zastrzeżeń... jedziesz?

— Tak!—odparł Władysław z niejakim wysiłkiem i mimowoli spojrzał w stronę księcia.

— Możesz mówić otwarciem przedemną, panie Władysławie!—rzekł książę z niezmierną dobrocią,—Roman jest moim przyjacielem i nie skrytego dla mnie niema, a mam nadzieję, że z panem także nie długo na tej stopie będziemy!...

To mówiąc, odszedł jednak trochę na bok, zapalił cygaro i siadając, wziął książkę do ręki, pozostawiając młodym zupełną swobodę.

— I cóż?—pytał tymczasem Roman, nie mogąc pohamować swojej niecierpliwości.—Odn-

ale Janina tylko Kamille uprosiła, tłumaczając innym, że ręce sobie poniszczą od mokrych łodyg i kolców.

Ten argument zdaje się najwięcej trafił do przekonania Natalii i pani Przemyskiej... szkoda białych rączek, kiedy inni wyręczyć się można! Odeszły więc panie, pociągając panów za sobą, został tylko Roman, korzystając, że dzięki obecności Kamilli może spędzić czas u boku ukochanej dziewczynki. Chwilami nawet zostawali zupełnie sami, gdyż Kamilla często odbiegała.

W jednej z takich chwil, Roman rzekł do Janiny:

— Pani wie o zmianie jaka zaszła w życiu Władysława Kręckiego?

Nieproszony rumieniec wybiegł na jej twarz.

— Nie wiem o żadnej...—odrzekła, spuszczać głowę, mocno niezadowolona niewczesnym pomieszaniem.

Roman patrzył na nią badawczo.

— Nie wie pani?—rzekł głosem trochę zmienionym,—Władysław wyjeżdża...

— Tak?—spytała zdziwiona, odzyskując swobodę. — Gdzież wyjeżdża? czy może otrzymał posadę?

— Tak. Wyjeżdża z księciem w wielką podróż, — mówił Roman zwolna, nie spuszczać z niej badawczego wzroku. — Jedzie jako sekretarz i towarzyszy księcia—na dwa lata co najmniej...

— I zgodził się na to? zgodził się chętnie? — pytała, podnosząc na Romana oczy, w których niespokojna ciekawość tkwiła.

— Zgodził się... zdaje mi się, że dość chętnie...

— Czy to dobra posada? rzeczywiście dobra?

— Pani widocznie bardzo się tem zajmuje...

— Bardzo!—przyznała z prostotą.—Los tych dwojga ludzi taki nieszczęśliwy... a warci są lepszego... Pewnie panu to zawdzięczać muszą, — dodała serdecznie.

— Księciu... i przypadkowi,—odrzekł Roman, ciągle niespokojnie patrząc na Janinę.

— Och! jakże mię to cieszy! — zawołała ze szczerością w głosie.

— Cieszy panią, że Władysław dostał posadę, czy że odjeżdża?...

— Jedno i drugie,—odrzekła. — Marnował się tutaj i zagryzał, a panna Olimpia także.

Roman milczał długą chwilę.

— A pani wie...—rzekł wahając się,—że Władysław biedny... kochał się w pani? — dodał szeptał.

Janina okryła się szkarłatem i także milczała chwilę.

— Czemu mi pan to mówi...—szepnęła.

Z głośnym szelestem wpadła na werandę Kamilla. Janina zwróciła się natychmiast do niej.

— Słyszysz, Kamilko co pan Roman mówi?—rzekła. — Pan Kręcki dostał doskonałą posadę sekretarza u księcia i jedzie z nim w długą podróż, na dwa lata!

Miała tak rozradowaną twarzą, mówiąc to, że Kamilla porozumiewająco spojrzała na Romana.

— Doprawdy?—spytała.

— Tak,—potwierdził Roman,—książę właśnie w tej chwili musi być w szkolnym domku, do którego drogę mu wskazałem.

— A to panna Olimpia musi być zadowolona!—zawołała Kamilla.—Ten Kręcki bardzo miły i przyzwoity chłopiec... Świetna rzecz, że nie będzie zmuszony do kariery, która wstrętą była dla niego.

— Twemu kuzynowi powinien zawdzięczać,—zauważyła Janina.

— Domyśliłam się odrazu,—rzekła Kamilla i spojrzała na Romana z miłym uśmiechem.—Trzeba będzie powinszować pannie Olimpii...

Nagle zarumieniała się.

— Mama wspominała, że wypada podziękować pannie Olimpii za jej opiekowanie się tobą, w czasie twojej choroby,—rzekła do Janiny.—Jakoś tak zeszło...

Pochyliła głowę nad kwiatami i wszyscy nagle zamilkli...

— Czy pani nie myśli ruszyć się dziś od tych kwiatów?—spytał Roman przerywając kłopotliwe milczenie.

— Sądzę, że skończymy przed obiadem, prawnie Kamilko?—odrzekła Janina z uśmiechem.—Niech pan patrzy, jakie piękne bukiety...

— Patrzę—i żałuję, że pomocnym paniom być nie mogę!

— Owszem!—zawołała Kamilla, porywając się żywo, jak zawsze.—Możesz mi pomódz przynieść wazon! chcesz?

— Z największą chęcią!...

Odeszli oboje a przy Janinie przysiadła, snującą się od chwili po nad werandą znudzona Natalia. Pochwaliła bukiety, zadała kilka pytań dotyczących się kwiatów, a potem nagle, jakby nie chcąc tracić czasu:

— Czy pan Roman stara się o Kamille?—spytała Janinę szybko i półgłosem, w zaufaniu.

Janina zdziwione oczy na nią podniosła.

— Mnie pani o to pyta?—rzekła. — Jakże ja mogę wiedzieć?

— Sądziłam, że pani powinna być najlepiej powiadomiona... jesteście panie z Kamillą tak dobrze... Pragnęłam wiedzieć,—mówiła dalej zawsze cicho i pośpiesznie,—bo życzę dobrze Kamilli, a wątpię, żeby w danym razie... szczęście znalazła... Pan Roman znany jest, jako pogromca serc... lubi się bawić, a potem porzuca...

Patrzyła przytem badawczo na Janinę, śledząc wrażliwe jakie na niej słowa te uczynią, ale Janina pilnowała się, żeby okazać się obojętną; instynktownie obawiała się pięknej pani.

— Sądzę,—rzekła, nie przestając układać kwiatów,—że Kamilla zna dobrze swego kuzyna.

— Och! ona taka młoda, niedoświadczona! Pani mogłaby zwrócić jej uwagę...

— Ja także jestem młodą i mniej doświadczoną niż Kamilla... mieszać się w te sprawy nie mogę... niema prawa...—odrzekła, siląc się na zimną krew Janina.

— A Roman tymczasem zbalamuci kuzynkę! a potem zadrwi z niej, jak z tyłu innych! — zawołała Natalia, unosząc się.—Muszę pani powiedzieć coś... co może uzna pani za stosowne kiedyś w danej okoliczności, powtórzyć przyjacielce... Oto pan Roman kochał przed laty... zdawało mu się może, że kocha... i zdawało mu się, że ma powody nie wierzyć tej... kobiecie... Zrazili się i od tej chwili gardzi wszystkimi kobietami, które odtąd służą mu tylko za chwilową zabawkę...

Janina opuściła kwiaty na kolana. Natalia zarumieniała się w swoim zapale i mówiła zupełnie głośno. W tej chwili śmiech Kamilli zabrzmiał w pobliżu i ukazała się ona z Romanem, dźwigającymi dwa ogromne wazon-y z ciężkiej starej porcelany.

— Wyobrażcie sobie, Romek tak wziął do serca, że powinien nam pomagać, że nie pozwolił żadnemu ze służących ponieść te wazon-y, tylko sam dźwiga! Jak to zabawnie wygląda!...

— Dla pięknej kuzynki, jak ty Kamilko, warto się potrudzić,—odezwała się słodko Natalia.—Pan Roman wie komu się wysługiwać...

Janina nieco blada w skutek wrażenia, jakie na niej uczyniły poprzednie słowa Natalii, spojrzała na nią zdziwiona; widziała ją przed chwilą uniesioną, gniewną prawie na Romana, a teraz taka słodka...

— Falszywa!...—pomyślała w duszy.

Natalia tymczasem ciągle słówka szeptała do Romana, który mało na nią zważał, ku wielkiemu zadowoleniu Janiny.

Wkrótce bukiety zostały ukończone; z reszty pozostałych Janina postanowiła porobić bukietki do kotyliona, a tymczasem kazała je odnieść do piwnicy. Potem panie odeszły ubierać się na obiad.

(Dalszy ciąg nastąpi)

JULIUSZ ZEYER.

VERTUMNUS I POMONA.

(Dalszy ciąg).

Wstałem i wróciłem do lasu. Tam odszukałem źródelko, u którego Pomonę po raz pierwszy ujrzałem. Czemu tak baczenie i z takim wyrazem radości w nie się wpatrywała?

Zamyślony i zaciękawiony pochyliłem się nad wodą jasną, przezroczystą i chłodną. Ujrzałem w niej własny mój obraz. Nigdy jeszcze odbicia swego tak badawczo nie oglądałem jak teraz. Czy mogłaby jej się spodobać twarz moja? Wątpliwość mnie zdjęła. Jakim niepokojnym wydawałem się sam sobie, jakim niemożliwym! Gdyby nie ten delikatny puszek nad górną wargą, wyglądałbym prawie na dziewczynę! To było niedobrze! W ogniu miłosnym, jak w ogóle we wszystkim, co się samym rozumem wytłumaczyć nie da, kryje się coś podobnego do strachu. Bojażn ta ma w sobie coś świętego... Ale bez uczucia, że moglibyśmy uleść, niema bojażni, mogłaby ją więc uleść na widok mego tak mało męskiego lica? Nie wywołaż ono raczej uśmiechu na jej ustach? Naraz obraz mój wydał mi się tak wstrętym, że rzuciłem kamieniem w wodę, aby w zburzonej toni znikł. Siadłem na trawie i rozmyślałem. Nagle usłyszałem śpiew—przez bór szła gromada mężów, powracali z kądem z pól, bo nieśli różne narzędzia rolnicze. Byli smukli jak słupy, siła buchała z tych ciał, z oczu tryskały im skry. To byli mężczyźni! Przed nimi drżałaby trwożnie Pomona, ale wzrok jej z pewnością by się na którymś z nich zatrzymał. To było mi wskazówką. Przybrałem na drugi dzień powierzchowność, twarz i postawę podobną i udałem się ku zakłętemu ogrodowi czarownicy Pomony. Byłem dobrze zbudowany, silny, wysoki i ogorzały od słońca. Włosy miałem ciemne, oczy jak noc, a płomienie namiętności strzelały z nich. Przepłótnem sobie włosy wieńcem z zielonych kłosów i dzikiego maku. Zapukałem pewnie do wrót i dźwięcznym, głębokim głosem rzekłem do Hersylii, gdy zjawiała się na progu, w ten sposób:

— Posyłam mię dobry Nisus, starzec, który wczoraj z tobą rozmawiał. Wiatr połamał ci podobno płoty. Chętnie tę szkodę naprawię, aby łanie z lasu do ogrodu się nie dostały i roślin nie poniszczyły.

— Wejdz — rzekła z przyjaznym uśmiechem, i szczęśliwy, wzruszony stanąłem pod kołyszącymi się jabłoniąmi, które patrzyły na rosnącą od dziecka w cieniu ich Pomonę.

Hersylia poprowadziła mię do połamanego płotu i zacząłem pracować gorliwie. Gdy wszakże odeszła, obejrzałem się po ogrodzie. Ujrzałem Pomonę. Była piękna nad wyobrażenie w tym przez nie zamąconym spokoju. Słodko szeptały drzewa, słodko śpiewały ptaki. Pomona trzymała w ręku gliniane, owalne, pięknych kształtów naczynie, czerpała wodę ze źródelka pod starym wiązem i polewała kwiaty, wyziewające woń balsamiczną.

Odrzuciłem narzędzia, zbliżyłem się do dziewczęcia i rzekłem cicho: — Pomono! — Obróciła się i spokojnie patrzyła na mnie.

Spuściłem oczy mimowolnie—i ujrzałem w krynicy odbicie postaci, którą na siebie wziąłem. Byłem zadowolony, tembardziej, że oczy jej teraz również mimowolnie w wodę się zapatrzyły i marzącami się stały, a od czasu do czasu uśmiech koło ust jej zaigrał. Widocznem było, że powierzchowność moja mile na niej robi wrażenie, i to mi dodało odwagi.

— Pomono, — rzekłem — czy nie bywa ci tu tęskno niekiedy, w tym pięknym wprawdzie ogrodzie, ale zarazem w takim odosobnieniu i odgradzeniu od reszty świata? Czy nie przyszło ci nigdy na myśl, że mogłabyś tę siedzibę swoją porzucić?

— Nie — odpowiedziała — dokądżebym poszła? Czy znasz jakie miejsce piękniejsze od tej doliny? Wątpię.

— Znam miejsce piękniejsze — rzekłem. — Dolina, w której mieszkam, szersza jest i wolniejsza. Złote falują tam pola, winnice rozwieszają swe zdobne gronami wieńce po wszystkich stokach, a w dali błękitnieją góry. U ciebie skowronki śpiewają radośnie, ale tam zawodzą słowiki. Kruszcowym grotem ryję bruzdy głębokie w roli, która jest moja, a ona w dobroci nieskończonej wynagradza mi jeszcze za mękę swą przeświętym darem, chlebem życiodajnym! Drzewa moje obficie jeszcze darzą mię owocem, niż twoje ciebie, a białe stada pasą mi się na łąkach i odpoczywają w zielonym cieniu na skrajach gajów, gdzie dusze zmarłych przodków mych przebywają i błogosławiają mi. Domek mój niski, lecz błogosławiony przez bogi. Składam im dzięki w uroczyste dni, gdy ja i towarzysze moi chodzimy milcząco, z modlitwą w sercu, po szerokich łąkach i rosistych pastwiskach, paląc na kruszcowych misach wonne żywice, syjąc kwiaty, odziani w białe szaty... Życie to nie jest samotne, Pomono, a jednak bywa mi tęskno, bo słyszę w szelestach kłosów, szumach drzew, śpiewach słowików i drozdów jedno wciąż, jedno najśodsze słowo, za obietnicami którego wzdycham i schnę... Pomono, to słowo zwie się miłością!

— Po co opowiadasz mi to wszystko? — spytała, a uśmiech znikł z jej twarzy.

— Dla tego — odpowiedziałem — że pragnieniem moim, głodem moim jesteś jedynie ty! Za tobą wzdycham, do ciebie wyciągam ręce. Bez ciebie nie ma dla mnie gędzby w szelestach kłosów, szumach drzew, śpiewach ptaków. Bez ciebie słyszę w tem wszystkim tylko płacz, płacz swego serca. Jeśli nie wejdiesz pod strzechę mą, doń mój stać będzie pustką, a ogień wygaśnie na ognisku mem.

— Nie pójdę z tobą — rzekła, wstrząsając głową. — Nie wiem, co jest miłość. Odejdź w pokój.

— Pomono — zawołałem — z ciebie mówi tylko płochliwość i wstyd dziewczęcy. Nie chcesz spojrzeć na mnie, ale patrzyłaś przed chwilą na obraz mój w krynicy i oczy twoje mówiły doń inaczej, niż usta teraz do mnie. Zrenice twoje były tak tęskne, że niepodobna, byś nie wiedziała, co jest miłość!

Zarumieniło się dziewczę i na twarzy jej zjawił się gniew. Rzuciła naczyniem w wodę, jakby obraz mój roztrzaskać chciała, podobnie, jak ja sam uczyniłem w lesie.

— Odejdź, zuchwalcze! — zawołała. — Odejdź, jeśli nie chcesz, abym cię znienawidziła!

Jęła wołać Hersylii i pośpieszyła do domu, który w blaskach słonecznych biało jaśniał między drzewami. A ja zgnębiony nagłym jej gniewem, wyszedłem szybko z ogrodu i uciekłem do lasu, gdzie, głowę wśród mchów ukrywszy, płakałem, płakałem tak długo, aż zasnąłem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— Ministerjum skarbu opracowało wzór jednokolorowego munduru dla uczniów wszystkich szkół handlowych.

Treść: Z melodyi pokutnych, przez Antoniego Pileckiego. — Pogawędka, przez ?? — Miserere Gregoria Allegri. Obrazek na tle historycznym, przez Zofię Chrzanowską (dokończenie). — Teatr, przez K. Glińskiego. — Na łąsce. Powieść, przez M. N. Sas-Junoszę (dalszy ciąg). Juliusz Zeyer. Vertumnus i Pomona (dalszy ciąg). — Z bieżącej chwili. — Nowe książki.

Dodatek obejmuje: Taquisara, powieść przez autorkę powieści Książę Saracinesco (F. Marion Crawford). Arkusz 2 i 3 T. II. Przekład z angielskiego. Przegląd mód. 34 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiada.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow-Przedmieście Nr. 66.
Дозволено Цензурою. — Варшава, 2 Апрель 1897 г.

cie. Była nią baronówna Gabryela Possanner von Ehrental, doktorka wszech nauk lekarskich uniwersytetu w Zurychu, praktykująca od lat kilku w Szwajcaryi, która po zadośćuczynieniu wszystkim przepisom prawnym uzyskała dyplom doktorski w Wiedniu. Panna Possanner musiała dwukrotnie poddawać się egzaminowi dojrzałości; poraz pierwszy w Wiedniu, gdy jednak świadectwa tego nie uznano w Zurychu, zmuszona była tam poraz drugi przystępować do egzaminu dojrzałości. Po uzyskaniu dyplomu w Zurychu starała się kilkakrotnie o pozwolenie na promocję w Wiedniu, ale bezskutecznie. Niezrażona niepowodzeniem doczekała się wreszcie wydania rozporządzenia, dopuszczającego kobiety na wydział medyczny uniwersytetów w Austrii.

Nowe książki.

Bartus E. Pole dyamentowe. Opowieść dla młodzieży. Podług oryginału niemieckiego napisał Wł. Umiński, Z 4 rycinami kolorowanymi. Warszawa, 1897. W kart. rs. 1 k. 20, w opr. 1 70

Felicyan. Utwory dramatyczne. Tom pierwszy. Kraków, 1896. 1 50

Geiger Ludwik i-r. Odrodzenie i humanizm we Włoszech i Niemczech. Przetłumaczył z niemieckiego Stanisław Mieczynski, Warszawa. 2 50

Gliński K. Duża książeczka dla małych dzieci. 12 obrazków, opisanych wierszem. Warszawa. 1 20

— Miła książeczka dla dobrych dzieci. 20 obrazków chromolitografowanych, opisanych wierszem przez... Warszawa. — 75

Gomulicki Wiktor. Niedziele Romcia. Z 9 rysunkami Illicza. Warsz., 1896. W kart. 1 50

Grudziński Stanisław. Świat i pustynia. Powieść. Warszawa, 1897. 1 20

Höcker P. O. Atylla Bicz Boży. Opowiadanie historyczne dla starszej młodzieży. Według dzieła... Opracował Walery Przyborowski. Z 6 rycinami. Warszawa, 1897. W kart. rs., k. 35, w opr. 1 80

Jahołkowska Ludwika. W domu. 30 powiastek dla dzieci od lat 5 do 7. Warszawa, 1897. W kartonie kop. 80, w opr. 1 20

Korczon Tadeusz. Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta (1764—1794). Badania historyczne ze stanowiska ekonomicznego i administracyjnego. Wydanie drugie, podług pierwszego wydania Akademii Umiejętności w Krakowie, z ilustracyami i dodatkami. Tom I. Kraków, Warszawa, 1897. 4 —

Krzyżanowski Anatol. Pasierby. Powieść na tle współczesnym, poprzedzona słowem wstępem Henryka Sienkiewicza. 2 tomy. Warszawa, 1896. 2 —

Laurie Andrzej. Kapitan Trafalgar. Powieść dla młodzieży dojrzałej. Przetłumaczył z francuskiego W. P. Warszawa, 1897. W kartonie rs. 1 k. 20, w opr. płóc. 1 70

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusz 2 i 3 T. II, powieści p. t. *Taquisara*, przez autorkę powieści Książę Saracinesco (F. Marion Crawford). Przekład z angielskiego.